

„Prawdziwe życie aniołów”

Krzysztof Globisz gra s

Po „Aniele w Krakowie” i „Zakochanym Aniele”, popularnych wśród widzów filmach z początku wieku, ich twórcy przygotowali kontynuację - „Prawdziwe życie aniołów”. To historia Krzysztofa Globisza - aktora, któremu choroba odebrała głos. W filmie gra siebie - okiem, uśmiechem, rozbawieniem...

ROZMOWA Z
WIToldem BERESIEM
producentem kreatywnym filmu
„Prawdziwe życie aniołów”

ANGELIKA PITOŃ, JERZY LEWIŃSKI: W „Prawdziwym życiu aniołów” nie oglądamy już wzruszająco zabawnego Giordano, znanego z waszych dwóch poprzednich „anielskich” filmów. Odwróciliście kamerę i pokazujecie grającego w nich główną rolę Krzysztofa Globisza, który zmaga się z ciężką chorobą. Coś zupełnie innego w nastroju. Dlaczego nakręciliście ten film?

WITOLD BERES: Dla mnie w życiu najważniejsze są przyjaciele. Egzaltowane, wiem. Ale jestem już człowiekiem z siwą brodą, mogę więc sobie pozwolić na patetyczne tony (śmiech)... Jurek Armata nazwał nas kiedyś, Barona [Artur „Baron” Więcek, reżyser i scenarzysta filmu - red.] i mnie, amatorami. Bo jesteśmy od kochania. Kochamy robić rzeczy fajne, swoje. I tak robiliśmy „Aniola...”. Krzysztof Globisz, który grał tytułową rolę, został naszym kolegą. Nie śmiem powiedzieć przyjacielem, choć chyba tak o sobie myślimy. Kiedy w 2014 roku w Warszawie dostał udaru, zadzwonił do najbliższej sobie osoby, do żony Agnieszki. Nie mógł już mówić i Agnieszka, trzymając go na słuchawce, wydzwaniła na pogotowie, policję, znajomych. Pomoc dotarła po kilku godzinach od wylewu, bardzo późno, i lekarz powiedział wprost, że to właściwie koniec. Ale Agnieszka nie odpuściła, walczyła o życie Krzysztofa, potem wspierała go podczas rehabilitacji. I nie tylko ona. Ania Dymna zrobiła wspaniałą aukcję, zorganizowaliśmy wieczór z Aniolami, w którym wzięło udział pół Krakowa. Nawet papież przekazał coś na licytację. Zebraliśmy pół miliona.

A kiedy pojawił się pomysł filmu?

– Kilka lat temu, już po tamtych wydarzeniach, obejrzałem jeden z naszych wspólnych filmów z Krzysztofem. Pomyślałem, że trzeba go zaprosić na plan, że on musi grać. Zadzwoniłem do Barona, a on mówi, że też ten film oglądał i właśnie miał dzwonić... Tacy jesteśmy stuknięci, że w telewizji oglądamy własne filmy [śmiech]. Krzysztof zaczynał wtedy pracę nad „Wielorybem. The Globe”, świetnym spektaklem w Łaźni Nowej, jemu dedykowanym. Nasza idea nie była więc kompletnie nierealna. Wtedy jednak trochę musiałem się z tego projektu wycofać, bo miałem inne zobowiązania. I w końcu scenariusz stworzył sam Baron. Dlatego „Prawdziwe życie aniołów”

to przede wszystkim jego film, choć nie byłoby go, gdyby nie determinacja naszej producentki Anety Zagórskiej.

Dlaczego nie zdecydowaliście się na dokument o Globiszu, lecz na fabularyzowaną historię?

– Filmy dokumentalne się nie sprzedają - to po pierwsze. To paradoks, bo wiemy, że ludzie chcą oglądać historie, które wydarzyły się naprawdę. Ale jednocześnie oczekują kreacji, bajki. Drugim powodem były pobudki artystyczne. Krzysztof gra Adama (skojarzenia z pierwszym człowiekiem nieprzypadkowe), aktora, również po udarze, borykającego się z afazją. Dokument ma wymóg bezwzględnej prawdy. Tu scenariusz, choć bazuje na faktach, na przeżyciach Agnieszki i Krzysztofa, opowiada historię, w której kilka rzeczy dodaliśmy, kilka połączyliśmy, a kilka innych pominięliśmy. Jest to więc rzecz napisana od nowa. Z nadzieją i wiarą, że skończy się dobrze!

W filmie uderza szczerść, z jaką pokazany jest człowiek w chorobie - ze wszystkimi wzlotami i upadkami, z rozbudzonymi nadziejami i z rezygnacją. To obraz afazji tym bardziej bolesny, że niemoc dotyka w tym przypadku właśnie aktora, kogoś tak bardzo uzależnionego od sprawności swojego ciała i głosu. Czy zdarzyło się, że Krzysztof Globisz odmówił zagrania jakiejś sceny, zbyt dla niego traumatycznej?

– Nie. Scenariusz był konsultowany z Krzysztofem i jeśli ostateczny kształt filmu odbiega od założeń, to nie dlatego, że on nie chciał czegoś zagrać. Po prostu, jak to przy produkcji, coś nie wyszło dobrze i wypadło przy montażu. Inna sprawa, że aktor z afazją to dla reżysera ogromne wyzwanie. Przecież w filmie Krzysztof niemal w ogóle nie mówi! Gra okiem, uśmiechem, rozbawieniem. Udowadnia tym samym, jak wielkim, wielkim aktorem i artystą jest.

Spytaliśmy, bo w filmie Krzysztof Globisz niesłuchanie realistycznie odtwarza moment ataku choroby... Trudno się to ogląda, a co dopiero mówić o zagranii takiej sceny.

– Wiecie, że średnio co osiem minut ktoś na świecie ulega udarowi? Te liczby są zatrważające! A Krzysztof Globisz podczas zdjęć przeżył go po raz drugi, i to wcale nie na planie zdjęciowym! Proponowaliśmy, że część scen nagramy z pomocą dublera, ale Krzysztof zaprotestował. Baron pozwolił mu na maksimum aktorskiej inicjatywy, wykonując tytaniczną pracę podczas montażu. To



• Jerzy Treli i Krzysztof Globisz na planie filmu „Prawdziwe życie aniołów”

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wielkie wydarzenie, że po dwóch udarach Krzysztof gra. I to główną rolę! Wierzę jednak, że to dopiero początek. On jest aktorem i do tego aktorstwa wraca. Choć w chorobie zaczął też malować. Coś niezwykłego się w nim obudziło. Przygotował nawet serię 12 plakatów do filmu, zresztą pokażemy je na festiwalu w Gdyni. Jest uważniejszy, spokojny. Lubi mówić: „Ja wolny”.

Mamy na hollywoodzkiej scenie kilku znanych artystów, których afazja wykluczyła z pracy. Bruce Willis, Sharon Stone. Kirk Douglas, który również doznał udaru, a w konsekwencji afazji opowiadał, że „zaciągnął żaluzje, wpełzł do łóżka i płakał”. Cierpiał na depresję. Wy tym filmem dajecie nadzieję. I sprzeciwicie się tabuizacji chorób.

– W jednym z naszych filmów bohater mówi: „O, takie słodkie rzeczy gadasz, że aż zęby boją”. I być może ja też już na starość mówię zbyt słodko, zbyt cukierkowo. Ale co poradzić, jak ten film jest właśnie taki słodki i pozytywny. Globisz

gra! Globisz pokazuje w nim swoją jasną twarz! Tak sobie myślę, że może właśnie ten optymizm, ta pozytywność mogą być lekkiem na dzisiejsze czasy.

Afazja, czego świetnym przykładem jest Krzysztof, nie wyklucza z kina, teatru, aktorstwa. To nie jest film żerujący na chorobie. My nie krzyczymy: „O, halo, popatrzcie, można zagrać w chorobie. Tak wygląda chory aktor”. To film o miłości, o przyjaźni, o wzajemnym wspieraniu się...

I o tym, że zbyt wiele rzeczy w życiu przyjmujemy za pewnik, za coś danego na zawsze.

– Tak, cieszymy się wakacjami, plażami, hulankami, swawolami. A to przecież wszystko jest ulotne. Kiedyś przyjaciel zapytał mnie: „Beresiu, coś byś wolał: sławę czy najbliższych, którzy staną przy tobie, jeśli będzie z tobą naprawdę źle?”. Oczywiście wybrałem sławę (śmiech). A potem trafiłem na trzy miesiące do szpitala i jedną z pierwszych rzeczy, które zobaczyłem po powrocie, to nasz zmontowany film. On uświadomił mi, że przeżyłem, bo miałem obok żonę, córki, wnuki. Moich najbliższych. Pomyślałem: jaki głupi byłem, że chciałem kiedyś przedłożyć nad nich sławę.

Pierwszy klaps do filmu padł cztery lata temu - długo kazaliście widzom czekać. W końcu jednak „Anioły” wracają i znów zaczynacie od festiwalu w Gdyni. Szkoda, że nie w konkursie głównym, jak poprzednio.

Wicie, że średnio co osiem minut ktoś na świecie ulega udarowi? Te liczby są zatrważające!

amiego siebie



– Dla mnie szklanka jest zawsze do połowy pełna. Rzeczywiście, to w Gdyni pokazywaliśmy nasze pierwsze filmy. Za „Anioła w Krakowie” Baron dostał nagrodę za debiut! Cieszy mnie, że są ludzie, którzy zdobyli się na to, żeby teraz zrobić naszemu filmowi chociaż pokaz specjalny. Przyjedziemy, zjemy rybę, połączymy po plaży. W tym roku, z tego co wiem, zgłoszono do konkursu ponad 50 filmów. Wybrano 20, i tak więcej niż w poprzednich latach. Ktoś mi powiedział, że od dawna nie było tak dobrego konkursu w Gdyni. A ja i tak uważam, że jesteśmy najlepsi (śmiech). Wierzę, że marzenia się spełniają. Z naszym pierwszym filmem chciałem objechać świat dookoła. I się udało, byliśmy w Londynie, Nowym Jorku, Los Angeles, Torontu, Nowej Zelandii, na wyspie Fidzi...

A marzycie, że „Prawdziwe życie aniołów” trafi do kin?

– Żyjemy dziś w takiej nadprodukcji i segmentacji rynku, że książki, filmy czy spektakle nie są w stanie na siebie zarobić. Kina się zamykają, wolimy oglądać filmy w domu. Żeby pokazać go w kinach, musimy więc udowodnić, że jest coś wart. Sprawić, żeby zaistniał. W Polsce mamy tendencję do tego, żeby za wartościowe uważać coś, co pokazano na Zachodzie, najlepiej na kilku festiwalach. Wtedy od razu dostaje łatkę: „mądre”. Mamy nadzieję, że znowu to, o czym zamarzyliśmy, uda się i pokażemy film na wielkim ekranie jesienią przyszłego ro-

ku. A jeśli nie, to zaprosimy wszystkich na wiśniówkę na Kazimierz i zrobimy swój „pokaz specjalny”. I też będzie OK! Także wszystko w rękach aniołów i cudownych zbiegów okoliczności.

Czyli?

– U nas wszystko jest zbiegiem tych dwóch rzeczy. Jestem człowiekiem, który przez całe dorosłe życie kontestuje religię. Jedyńm księdzem, który jest dla mnie ważny, to ks. Józef Tischner. Poświęciliśmy mu nasz debiut, serial „Hi-

Witold Beres



• Ur. 1960.
Z wykształcenia filmoznawca. Publicysta, pisarz, wydawca, producent filmowy. Pracował m.in. w „Tygodniku Powszechnym” i „Gazecie Wyborczej”, prowadził własne programy w RMF FM i telewizji publicznej. Autor i współautor kilkunastu książek poświęconych m.in. Krzysztofowi Kozłowskiemu, Markowi Edelmanowi, ks. Józefowi Tischnerowi, Andrzejowi Wajdzie, Ryszardowi Kapuścińskiemu i Jerzemu Pilchowi. W ostatnich latach

w wydawnictwie Austeria ukazał jego cykl eseistyczny – „Zaraza. Lekcja nieprzerobiona”, „Statek głupców. Biedni Polacy patrzą na Usnarz” i „Wyspa, ślady na piasku”. Wspólnie z reżyserem Arturem „Baronem” Więckiem produkował filmy fabularne, w tym „Anioła w Krakowie” (2002) i „Zakochanego Anioła” (2005). Od 2018 r. jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Kraków i Świat”. Z Witoldem Beresem można będzie się spotkać 21 września br. w Pałacu Potockich w Krakowie.

istoria filozofii po góralsku według ks. Józefa Tischnera”. Chcieliśmy, żeby w nim zagrał, ale był już bardzo chory. Powiedział: „Jo nie. Ale Trela mógłby zagrać”. Poszliśmy do Jurka Treli, a on: „Może Globisz mógłby też zagrać?”. No to poszliśmy do Globisza. Kolejna produkcja, „Anioł w Krakowie” - i wybór był prosty: Globisz i Trela. I tak po nitce do kłębka kompletowaliśmy obsadę jednego, drugiego, trzeciego filmu.

Bardzo krakowską obsadę.

– Długo mnie irytowało, jak ktoś mi mówił, że jestem „krakowski”. Po 20 latach od „Anioła w Krakowie”, kiedy oddajemy kolejny film, to widzę, że tak rzeczywiście jest. Plenery, miejsca, ludzie - to jedno. Ale u mnie nawet sposób produkcji jest taki krakowski właśnie.

Czym się wyróżnia?

– „Prawdziwe życie aniołów” to film, którego budżet wynosił około czterech milionów złotych. Nie udało się, gdyby nie Kraków Film Comission, nie Jacek Majchrowski i Andrzej Kulig. A jeszcze przed pandemią zadzwonił do mnie mój przyjaciel. I mówi, że do Krakowa przyjeżdża pewien VIP i trzeba mu pokazać życie krakowskie. No to zaprosiłem go do Klezmer Hois na Kazimierzu, mojego drugiego domu. Była śpiewaczka, kosszerne potrawy. A nad ranem poszliśmy na kielbaski pod Halę Targową, czyli rzeczywiście było krakowsko (śmiech). Tym VIP-em był Zygmunt Solorz. Serdecznie się zakolegowaliśmy. I kiedy mieliśmy problem, żeby domknąć budżet, to zapytałem go, czy nie wsparłby filmu. Zrobił to z chęcią. Nawet popłakał się, kiedy obejrzał zamknięte dzieło.

W „Prawdziwym życiu aniołów” dużo jest jednak plenerów tatrzańskich. Dlaczego tam kręciliście?

– Baron jest góralcem, chociaż niskopiennym z Limanowej. Sentyment do gór mu jednak pozostał, tak jak i do ks. Tischnera, dla którego góry odgrywały ważną rolę. Kilka lat temu byliśmy zaangażowani w projekt polsko-włoski. Miał być kręcony w Tatrach i Rzymie. Nic z tego nie wyszło, ale plenery zostały. To je wykorzystaliśmy. Tatry mają w sobie coś niezmiernie. Choć przyznam, że znalezienie tam drewnianej chałupy nieotoczonej blokami to był wyczyn. A już chałupy w zimie, żeby było dużo śniegu i żeby ten jednocześnie prószył, to już w ogóle marzenie z cyklu tych „nie do realizacji”. Jak się domyślicie, pieniędzy na sztuczne ośnieżenie nie było. W filmie jest taka scena, kiedy zaczyna zmierzchać i Jurek Trela mówi: „O, gaśnie, pewnie Józek znowu zapomniiał zapłacić za prąd”. I mieliśmy wrażenie, że ktoś te warunki atmosferyczne za nas rzeczywiście zamał i opłaca rachunki.

Dużo dobrych duchów nad wami czuwało!

– Anioły, po prostu anioły... oraz dużo szczęścia i fajnych ludzi. Bo ten film to przecież nie tylko Krzysztof, ale też znakomita kreacja Kingi Preis, która gra Agnieszkę. No jest Jurek Trela!

Jego ostatnia filmowa rola.

– Powiedziałbym, że podwójnie niezwykła. To jest w filmie zagrane przez obu aktorów. Kiedy Krzysztof zachorował, Jurek przychodził do niego i czytał książki, często „Filozofię po góralsku”. Podobno człowiek w śpiączce wszystko słyszy i należy go pobudzać opowieściami. I taki obrazek wszedł do filmu: Jurek siada przy łóżku Globisza, który gra chorego Globisza, i wspomina śmieszne historie z imprez alkoholowo-krakowskich czy zagranicznych wyjazdów... Pamiętam, że kiedy trwał już ostateczny montaż filmu, Trela poczuł się bardzo źle. Wtedy przy jego łóżku stanął Globisz, pokazywał mu jakieś fragmenty, m.in. jak Trela pomaga mu się ogolić. Mądra, wzruszająca scena. Krzysztof chciał też choremu Treli coś ważnego powiedzieć, trudno mu było, w końcu wyrzucił z siebie: „k... k... Kocham cię”. A Jurek, wspaniały, dobry człowiek, odpowiedział po swojemu, z krakowska: „Tyż cię Kocham”. Pożegnanie przyjaciół.

O Jerzym Treli wspominasz też, bardzo osobiście, w swojej ostatniej książce „Wyspa, ślady na piasku”.

– To właściwie esej, który układa się w pewną całość z dwoma poprzednimi moimi tytułami – „Zaraza, lekcja nieprzerobiona” i „Statek głupców. Biedni Polacy patrzą na Usnarz”. Wszystkie wydał kolejny krakowski anioł, niezmiernie Wojtek Ornat z Austerii. Dość pesymistyczna refleksja nad naszą współczesnością, naznaczoną takimi wydarzeniami, jak pandemia i kryzys na granicy polsko-białoruskiej. Na ich tle „Wyspa” może być odczytywana bardziej optymistycznie właśnie dzięki Treli. Krótko: po ciężkiej chorobie wyjechałem na Wyspy Kanaryjskie, na Fuerteventurę, żeby na jej bezkresnych plażach oderwać się od różnych strasznych rzeczy tutaj. Ale one – jak się okazało – za mną gonią. Bo to miejsce, przez które wiedzie trasa przemytu ludzi z Afryki Subsaharyjskiej, biednej, umierającej, pozbawionej perspektyw. Aby dostać się z tego piekła na te rajskie wyspy, trzeba pokonać 140-kilometrowy pas wody. Tyle że tam są zdradliwe prądy, przez co mnóstwo uciekinierów tonie. A ja chodzę po plaży, oglądam przyplływ oceanu, podziwiam zaćmienie księżycy, tak zwany krwawy księżyc, niesamowite zjawisko swoją drogą, i zastanawiam się na tym wszystkim... I właśnie wtedy dostaję SMS-a, że odszedł nasz brat, Jerzy Trela. Smutna chwila. Zaraz jednak przychodzi myśl: jak to odszedł? Wchodzę w hotelu na YouTube’a, a tam mnóstwo scen z nim, także z naszych filmów. Zrozumiałem, że choć zmarli żyją przede wszystkim w naszej pamięci, to Trela zostanie z nami na zawsze dzięki swoim rolom. Że jego Konrad z „Dziadów” Swinarskiego sprzed prawie 50 laty już na zawsze pozostanie wielki, niezrównany. Wydeptałem więc na piasku napis: „Jerzy Trela żyje. Żyje. Żyje”.

I myślę, że trochę dzięki niemu i my żyjemy. Oraz dzięki aniołom. ●

Rozmawiali Angelika Pitoń i Jerzy Lewiński